

Pana Zbigniewa Mygę - absolwenta naszej szkoły odwiedziliśmy w jego domu rodzinnym, w którym obecnie znajduje się Dom Poezji- Muzeum Haliny Poświatowskiej. Pan Zbigniew jest kustoszem muzeum. Mieliśmy już niejednokrotnie okazję posłuchać wzruszających opowieści o życiu jego słynnej siostry, wybitnej poetki - Haliny Poświatowskiej.



A.G. Pamięta Pan, w którym roku ukończył szkołę na Prusa?

Z. M. Oczywiście, że pamiętam. Skończyłem ją w 1970 roku.

A. G. Jakie refleksje nasuwają się Panu, gdy myśli Pan o latach spędzonych w szkole średniej?

Z.M. To nie był łatwy czas ze względu na wysokie wymagania, które przed nami stawiano. Ale oczywiście wspomnienia z tamtego okresu mam bardzo sympatyczne. Zostałem na przykład „zarażony” turystyką przez panią profesor Adamus (nauczycielkę geografii) już w pierwszej klasie technikum, był to rok 1966. Pani Adamus założyła wówczas koło PTTK, w ramach którego pojechaliśmy na rajd: "Jesień na Jurze". Potem były inne różne wyprawy, w końcu "Rajd świętokrzyski" - pierwszomajowy, których zaliczyłem bardzo wiele. Tak się w tę turystykę wciągnęliśmy, że jako młodzi ludzie zainicjowaliśmy rajd "Wiosna na Jurze", który odbywa się do tej pory. Mając lat 15-16 byliśmy kierownikami tras.

Bardzo dobrze wspominam niektórych nauczycieli, którzy mieli wpływ na moją późniejszą drogę życiową. Np. na politechnikę dostałem się dzięki Panu prof. Skowronowi, bo akurat nasz

matematyk Pan prof. Łącki był chory i prof. Skowron wszedł na zastępstwo. Prowadził zajęcia tak, aby przygotować nas do egzaminu na politechnikę. Chyba miałem dużo szczęścia, bo wylosowałem jedno z takich zagadnień, o których była mowa na lekcjach - było to wyprowadzanie twierdzenia cosinusów. Moja kartka wędrowała od jednego do drugiego członka komisji. Panowie wiedzieli, że wykonałem zadanie bardzo dobrze, tylko nikt z nich nie znał takiego sposobu. Wypytałem mnie, skąd znam taki wywód... i oczywiście dostałem maksymalną ilość punktów, za co jestem prof. Skowronowi dożgonnie wdzięczny.

Wiele zawdzięczam również Pani prof. Ewie Mrowińskiej. Uczyła rysunku technicznego tak doskonale, że na politechnice wiedziałem na jego temat wszystko i w przeciwieństwie do swoich kolegów nie musiałem ślęczeć po nocach nad deską kreślarską.

Metaloznawstwa uczył mnie pan dyrektor Walenty Kopecki. Wiedza wyniesiona z technikum wystarczyła do zdania egzaminu. Nie musiałem chodzić na wykłady.

Tak, ta szkoła przygotowywała absolwentów doskonale z wszystkich przedmiotów. Ale dostać się do niej było niezwykle trudno. Dwa pełne cykle egzaminów wstępnych, piętnastu chętnych na jedno miejsce. Więc te lata wspominam z niezwykłym sentymentem. Właściwie do tej pory podtrzymywałem kontakt ze szkołą, ponieważ byłem zaprzyjaźniony z Panią prof. Barbarą Orłowską i z Panią prof. Iwoną Florek. Cały czas wiedziałem, co się w szkole działo, a i teraz goszcząc grupy młodzieży z mojej byłej szkoły zawsze wypytuję o aktualności.

A. G. Czy mógłby Pan opowiedzieć jakąś zabawną historię/anegdotę z lat szkolnych dotyczącą nauczycieli lub kolegów?

Z. M. Dobrze. Opowiem o mojej studniówce. Za czasów mojej młodości bale przedmaturalne odbywały się na sali gimnastycznej. Oprawę muzyczną zapewniała orkiestra, złożona oczywiście z uczniów szkoły. Natomiast konsumpcja odbywała się w salach lekcyjnych, które należało udekorować. Każdą z sal zdobiło hasło, które miało być dowcipne, kojarzone z wiedzą i podkreślać męski charakter klasy. Długo myśleliśmy nad nim, ale to ja podsunąłem to właściwe. Pomogła mi w pewnym sensie Haśka, która co prawda już wtedy nie żyła, ale po siostrze odziedziczyłem zbiór książek, a wśród nich zbiór fraszek Jana Izydora Sztaudyngera pt. "Wiórki". Na jej okładce pan Jan własną ręką dopisał kilka fraszek. Jedna z nich się świetnie nadawała na hasło. Nosila tytuł: "Przeciw nadmiarowi wiedzy" a treść brzmiała: " I po cóż znac nam wszystkie litery, kiedy do szczęścia wystarczy cztery". Pamiętam, że nasz wychowawca, pan prof. Flis, razem z naszym poprzednim wychowawcą zastanawiali się i liczyli te litery na wszystkie sposoby. W końcu doszli do wniosku, że to pewnie chodzi o „serce", a nie o inną część ciała, potocznie zwana „czterema literami” .

A.G. Co mógłby pan doradzić ludziom, rozpoczynającym swoje kariery, podejmującym decyzje związane z rozpoczęciem pracy?

Z.M. Ja jestem technikiem, i swoją pracę zawsze widziałem w jakimś zakładzie, biurze projektowym, przy desce kreślarskiej.... Więc, co bym radził młodym? Przede wszystkim żeby wyszli między ludzi, nie zamykali się w biurze konstrukcyjnym, w żadnym biurze w ogóle, a przede wszystkim nauczyli się rządzić. Bo tak to w życiu bywa, że żeby młody inżynier został majstrem, muszą minąć dwa lata, żeby z mistrza awansował na kierownika wystarczy mu dwa miesiące, aby z kierownika stał się dyrektorem potrzebuje dwóch dni, zaś z dyrektora może zostać ministrem w piętnaście minut.

A. G. Jak radzi sobie pan ze stresem?

Z. M. Nie odczuwam stresu. A o ile się pojawi na skutek jakiejś poważnej przyczyny, wyzwala u mnie działanie. Trzeba się go jak najszybciej pozbyć, nie siadać w kącie i płakać. Natychmiast należy się wziąć do roboty. Jeżeli człowiek ma wydatki i musi zapłacić

rachunki, powinien zdobyć pieniądze, a nie rozpaczać. Już Żydzi mówili, że kłopot, który da się rozwiązać przy pomocy pieniędzy nie jest problemem, to tylko koszt.

A.G. Bardzo dziękujemy za rozmowę .

Rozmowę prowadzili: Aleksandra Gruntowska i Mateusz Magacz.



Zdjęcia wykonała : Klaudia Kurzacz.